Opłatę pocztową uiszczono ryczałtem

ROK VIII. CZERWIEC 1934 NUMER VI.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM PRACY SPOŁECZNEJ I OPIEKI NAD DZIECKIEM

ORGAN ZWIĄZKU TOW. OPIEKI NAD SIEROTAMI ŻYD. RZECZYP. POLSKIEJ

WYDAJE CENTR. KOMITET OPIEKI NAD ŻYD. SIEROTAMI WE LWOWIE.
Redaguje Komitet ✣ Redaktor nacz. i odpow.: Dr. Józef Kohn
Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Brajerowska Boczna l. 4. Telefon Nr. 36-06.

TREŚĆ NUMERU:

LWÓW ✣ CZERWIEC ✣ 1934

ROK VIII. CZERWIEC 1934 NUMER VI.

PRZEGLĄD SPOŁECZNY

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM
PRACY SPOŁECZNEJ I OPIEKI NAD DZIECKIEM

ORGAN ZWIĄZKU TOW. OPIEKI NAD SIEROTAMI ŻYD. RZECZYP. POLSKIEJ

WYDAJE CENTR. KOMITET OPIEKI NAD ŻYD. SIEROTAMI WE LWOWIE.
Redaguje Komitet ◆ Redaktor nacz. i odpow.: Dr. Józef Kohn
Redakcja i Administracja: Lwów, ul. Brajerowska Boczna l. 4. Telefon Nr. 36-06.

Dr. MAKS SCHAFF.

Bezcelowy trud?

Ministerstwo Opieki Społecznej rozesłało do wszystkich instytucyj społecznych, a w szczególności do instytucyj społeczno wychowawczych ankietę dla zbadania wysokości i przyczyn zadłużenia tych instytucyj oraz możliwości sanacji stosunków.

Także i nasze żydowskie instytucje sierocińskie otrzymały tę ankietę poprzez Zarząd m. Lwowa. Niedawno temu otrzymaliśmy również przez Zarząd miasta wezwanie Ministerstwa Opieki Społecznej o powiększenie liczby dzieci wychowywanych w zakładach przez przyjęcie dzieci bezrobotnych jako hospitantów. Odpowiedzieliśmy podówczas, że chętnie zastosujemy się do żądania Ministerstwa, jeśli gminy przez wypłatę uchwalonych subwencji dopomogą nam do utrzymania bytu naszych instytucyj, do uchylenia grożącego im niebezpieczeństwa likwidacji.

Odpowiedź zarządów poszczególnych zakładów na obecną ankietę w sprawie zadłużenia była bardzo prostą. Okazało się bowiem w przeważającej liczbie wypadków, że suma długów nie przekracza lub przekracza tylko o drobnostkę sumę niewypłaconych w ostatnich dwu latach subwencyj komunalnych. Temsamem wskazaną też jest możliwość i droga do sanacji, droga, którą już po niezliczone razy wskazaliśmy na łamach naszego pisma, na naradach, zgromadzeniach i w niezliczonej ilości memorjałów pod adresem władz komunalnych i rządowych władz nadzorczych wszystkich instancyj.

A jak przedstawia się sytuacja w chwili obecnej? Rozpoczynają się ferje. Czynimy nadludzkie wprost wysiłki, aby dzieci,

pozostające w naszej opiece, rozmieścić na kolonjach, półkolonjach, albo u osób prywatnych, by nabrały nieco sił do pracy w następnym roku szkolnym, w którym, oby nie potrzebowały znosić większego niedostatku, niż w ubiegłym.

Prócz tego kierowników akcji obarcza jeszcze wiele innych, bardzo ciężkich trosk. Od lat nie przeprowadzono w zakładach żadnego remontu, nie uzupełniono inwentarza. W każdej instytucji leży po kilkadziesiąt podań o przyjęcie nowych dzieci, podań, z których każde wprost ocieka krwią serdeczną.

Tu samotna matka, obarczona sześciorgiem czy nawet ośmiorgiem dzieci błaga, by odebrano jej bodaj najmłodsze dzieci, aby umożliwić jej szukanie jakiejś pracy. Tam matka ciężko chora na gruźlicę, dzieci śpią razem z nią w jednem łóżku. Sąsiedzi pytają się ze — słusznem zresztą — rozgoryczeniem, od czego istnieją instytucje społeczne, jeśli w takich wypadkach nie udzielają pomocy? Z innego podania dowiadujemy się, iż ojciec skutkiem kryzysu popełnił samobójstwo, matka popadła w obłęd, dzieci wałęsają się wśród obcych.

I tak jedno podanie po drugiem opowiada w słowach prostych, bezpretensjonalnych tragedję ludzką i domaga się remedury.

Komu odmówić, kogo przyjąć, jak skalkulować wydatki, aby rok przyszły nie był tak trudnym i tragicznym dla prowadzących akcję jak rok ubiegły?

Badamy skrupulatnie cyfry dochodów i wydatków z ostatnich kilku lat. Szukamy takiej pozycji, którąby dała się jeszcze zredukować, ale nie znajdujemy żadnej możliwości realnej kalkulacji, ponieważ nie umiemy odpowiedzieć na zasadnicze pytanie, czy Zarząd miasta spełni i w jakich rozmiarach spełni swoje wobec nas zobowiązania.

Mimo wszelkie uroczyste przyrzeczenia, dane nam ubiegłego roku przez wszystkie czynniki miarodajne, mimo solennego zapewnienia ze strony Urzędu wojewódzkiego, że w okresie 1933/34 zarząd miasta wypłaci w pełnej wysokości przyznane subwencje — a Urząd Wojewódzki chyba w porozumieniu z Prezydjum miasta dał nam takie zapewnienie, — otrzymaliśmy w nieregularnych ratach ledwo połowę uchwalonych sum.

W roku bieżącym znów obniżono w preliminarzu budżetowym subwencje dla naszych instytucyj i znowu powzięta została przez Radę Miejską uchwała, że subwencje dla prywatnych zakładów opiekuńczych mają być w całości wypłacone w ratach kwartalnych bez względu na ewentualną konieczność redukcyj budżetowych.

Dobiega już końca pierwszy kwartał, ale nie słyszymy nic o krokach przygotowawczych dla wypłacenia nam pierwszej raty

subwencji. Właśnie teraz, kiedy należy z powodu końca roku dzieci rozesłać, coś zrobić dla polepszenia ich stanu zdrowia, poczynić najniezbędniejszy i najkonieczniejszy remont — znów głucho i cicho.

Jużeśmy się przyzwyczaili do tego, że wszelkie uchwały w naszych sprawach, wszelkie dawane nam przyrzeczenia pozostają na papierze.

Jednak ciągle jeszcze przeciw temu się buntujemy, ciągle jeszcze nie rozumiemy, dlaczego właśnie w ten sposób się dzieje, dlaczego w stosunku do nas w 100% łamie się obowiązujące przepisy ustawowe, dlaczego musimy od lat stwierdzać, że nie stosuje się wobec nas obowiązujących przepisów ustawowych?

Przeglądaliśmy budżet m. Lwowa. Moglibyśmy cyframi tego budżetu wykazać, jaka dzieje się nam krzywda i jaka tkwi ironja w zapewnieniach, że nie wypłaca się nam stosunkowo drobnych subwencji z powodu braku pokrycia. Moglibyśmy wykazać, że liczba dzieci w miejskim zakładzie, przepraszam, w miejskim pałacu sierót przy ul. Kadeckiej, nie zmniejszyła się, owszem wzrosła. Moglibyśmy na podstawie cyfr budżetowych wykazać, o ile lepiej odżywia się tych „arystokratów“ z pałacu przy ul. Kadeckiej, wzgl. o ile drożej kosztuje utrzymanie tam dziecka. Moglibyśmy wykazać, o ile wzrosła liczba dzieci umieszczonych w opiece pozazakładowej (domowej) i zapytać się, czy dziecko żydowskie mieszkające we Lwowie nie jest objęte ustawą o opiece społecznej, czy nie jest obowiązkiem Gminy zająć się także dzieckiem żydowskiem?

Możnaby podnieść, że budowa zakładów jest rzeczą kosztowną, że Żydzi ze względów rytualnych nie mogą i nie chcą korzystać z pałacu przy ul. Kadeckiej (nie wiemy, czy gdyby się znalazł ktoś, któryby chciał z tego pałacu skorzystać, czyby go przyjęto) ale rozmieszczenie dzieci w opiece domowej nie wymaga żadnych dalszych wydatków, jak na koszt utrzymania dziecka. Czemuż więc gmina m. Lwowa nie przyjęła na swój etat opieki pozazakładowej ani jednego żydowskiego dziecka? Czemu w tej dziedzinie na dziecko chrześcijańskie wydaje się na głowę rocznie 246 zł., zaś przez Towarzystwo Opieki nad dzieckiem (opieka domowa) na dziecko żydowskie aż 17 zł. rocznie (wedle wykonania budżetu w roku ubiegłym).

Moglibyśmy wreszcie, opierając się na obowiązujących od przeszło dziesięciu lat przepisach zapytać się, czemu nie budując własnych zakładów dla dzieci wyznania żydowskiego, miasto nie zawiera umów z istniejącemi instytucjami i nie płaci od każdego żydowskiego dziecka tyle, ile płaci rozmaitym prywatnym chrześcijańskim instytucjom, u których od lat umieszcza dzieci nie znajdujące pomieszczenia w pałacu przy ul. Kadeckiej. Czemu dla każ-

dego z tych dzieci, w ogólnej liczbie 206 znalazł bez trudu po 1.50 Zł. dziennie, a dla naszych dzieci z takim trudem zdołaliśmy wywalczyć ledwo po 14 i ćwierć grosza?!

Moglibyśmy jeszcze wiele postawić pytań, ale nie czynimy tego, bo wiemy, że nie otrzymamy odpowiedzi jasnej, odpowiadającej rzeczywistemu stanowi rzeczy. Pokutuje w naszym samorządzie wciąż jeszcze dawne prawo zwyczajowe, a ono czuje się dotknięte, gdy się poruszy sprawę żydowską.

Na krótki tylko czas zagościła na „ratuszu" m. Lwowa nowa ustawa o opiece społecznej. Było to za czasów komisarjatu rządowego, kiedy referentem opieki społecznej był zastępca komisarza rządowego, radca Urzędu Wojewódzkiego p. Frankowski. Komisarz rządowy, reprezentując czynnik rządowy, wychodził z założenia, że ustawa powinna być wprowadzona w życie i starał się powoli przyzwyczajać duch „ratusza" do tego, iż wobec ustaw są wszyscy równi i że ustawa o opiece społecznej stosuje się również i do dzieci żydowskich. Jednak rządy te niestety nie trwały długo i nie zdołały wpoić owych zasad w czynniki kierujące nawą miasta. Przyszły rządy wybranych prezydentów miasta, a z nimi redukcje ledwo co wprowadzonych w budżet m. Lwowa małych subwencyj dla naszej akcji. Protesty nie pomagają, subwencje te zmniejszają się i redukują z roku na rok i nic nie zapowiada, by w bliskiej przyszłości powiać miał jakiś nowy duch. Chyba, że stanie się cud, chyba, że znów pod naciskiem władz nadzorczych zasady reprezentowane przez Rząd wejdą w życie. Narazie trudno w to wierzyć, narazie bezcelowym trudem jest pisać o tych sprawach, nie wiedzieć poraz który. Serca i uszy tych, którzy mieliby owe skargi usłyszeć i na nie zareagować, są dla nich zamknięte.

A może skargi owe wywołują odruch gniewu u tych, u których powinny wywołać poczucie winy?

Pocóż więc ten bezcelowy trud? Poco ta wieloletnia praca i walka, poco te słowa, hamujące w sobie i ból i gniew i zawiedzione nadzieje, jeśli doszło się do przekonania, że nie są skuteczne?

Słowa rozpaczy, bolu, gniewu wypowiadane na znak protestu przeciw dotychczasowemu bezprawnemu stanowi rzeczy są same przez się czynem. Rozbrzmiewają w dalekie kręgi, i może dotrą kiedyś do takich uszu, które nie będą dla nich zamknięte, do uszu osoby mającej tyle mocy i władzy, iż będzie mogła powiedzieć: tak dalej być nie może.

W każdej rozpaczy jest jakaś iskierka nadziei. W każdym żalu tkwi maleńka iskierka wiary, że wywoła pożądany odruch.

Może i te, dotychczas bezskuteczne trudy, taki odruch wywołają?

H. GÓRSKA.

Cygan.

(Urywek z książki dla młodzieży „Chłopcy z ulic miasta“, która ukaże się wkrótce nakładem Gebethnera i Wolfa).

Miał dwanaście lat, ale nie wyglądał nawet na dziesięć. W zawodzie ulicznego grajka — rzecz bardzo korzystna. Im mniejszy bowiem i szczuplejszy jest chłopczyk, który, zagrawszy uprzednio na podwórzu kilka bardzo rzewnych melodyj, zaśpiewa piosenkę o sierocie wypędzonej przez macochę lub żałącej się nocą na grobie matki, tem więcej zawiniętych w papierki groszaków sypie się z okien domów. Ale mimo swego „korzystnego“ wyglądu nie zarabiał wiele. Było w jego smagłej cerze, ogromnych, posępnych lub bezczelnie natarczywych czarnych oczach i gardłowym głosie o cudzoziemskim akcencie coś obcego, coś nie budzącego ani współczucia ani zaufania.

Czy był naprawdę (jak twierdził) sierotą, czy też przywędrował tu z jedną z tych kobiet, które wchodzą lekkiemi, skradającemi się krokami (obejrzawszy się uprzednio ostrożnie czy dozorcy niema w pobliżu) na kuchenne schody domu, by powróżyć służącym? Nie wiadomo. W każdym razie pewnem jest, że, jeżeli nawet spotykał się gdzieś w nocy z matką, to przez cały dzień musiał się sam troszczyć o siebie. I to nietylko o swe wyżywienie, ale i o obronę. Musiał być bowiem ciągle czujny, ciągle gotowy do ucieczki lub odparcia napaści. Był niby kanarek wypuszczony między wróble dziobiące się wprawdzie między sobą o ziarno, ale zawsze gotowe do wspólnego zadziobania obcego przybysza.

Nie stawiał zresztą nigdy czoła w otwartej bójce: Wiedział przecież z doświadczenia, że każdy z jego współzawodników ma jakichś przyjaciół, jakiegoś „kindera“ [1]), jakąś grupę; w której może znaleźć oparcie. On natomiast jest zupełnie sam.

A zresztą — skrzypce.

Każda bójka mogła narazić skrzypce. A skrzypce to był chleb, to była jakgdyby przepustka ułatwiająca wślizgnięcie się tam, gdzie bez nich niepodobna by się dostać, to był wreszcie może — jedyny przyjaciel i ostoja. Jeśli nie zdołał uciec przed napastnikami, to ukrywał je na piersiach pod kurtką, garbił się, kurczył i pod-

---

[1]) „Kinder“ w narzeczu uliczników lwowskich, to starszy chłopiec wysyłający młodszych na żebraninę. Jego podwładni dzielą się z nim zarobkiem, a wzamian korzystają z jego obrony przed napastnikami.

dawał cierpliwie plecy pod twarde, spadające na nie bezlitośnie kułaki, byle tylko ochronić je i obronić.

Zresztą — był wesoły.

Głód, chłód i bicie przywykł znosić podobnie, jak się znosi zmiany pogody. Ludzie zaś nie byli dla niego nigdy kimś, od kogo możnaby oczekiwać opieki czy pomocy. Dzielił ich na zwierzynę, na którą się poluje, to jest tych, od których można coś dostać, zarobić czy wyłudzić i na współzawodników w tem polowaniu, których trzeba starannie i czujnie omijać.

Jakim sposobem znalazł się pewnego dnia na progu świetlicy dla gazeciarzy? Pewnie dowiedział się, że istnieje takie schronienie, że jest w niem ciepło i sucho i można się napić gorącej herbaty. A tego dnia padał od rana deszcz ze śniegiem, wiał przenikliwy wiatr i nigdzie nie podobna było zarobić ani grosza. Jego drżący z zimna głos nie docierał do mieszkań przez szczelnie zamknięte okna, a na ulicy przechodnie mijali go szybko, wtulając nosy w wysoko podniesione kołnierze palt. Na domiar złego bał się, że skrzypce zmokną i musiał okręcić je kurtką, a pod kurtką nie miał niczego prócz starej, podartej kamizelki.

Stanął więc w progu świetlicy, z której buchało światło, ciepło, wesoły gwar głosów i nęcący brzęk łyżeczek. Wahał się jednak jeszcze. Nie był widocznie przyzwyczajony do zbyt wielkiej serdeczności ze strony rówieśników.

Ale pan Piotruś dostrzegł go i powiedział:

— A co to za dureń stoi tam w drzwiach i zimna napuszcza?!

I odrazu trzeba było zamknąć drzwi z tej, albo z tamtej strony.

Przybysz zamknął je od wewnątrz. Stał jednak nadal w progu wahający się i niepewny.

Narazie nikt nie zdawał się zwracać na niego uwagi.

Chłopcy stłoczeni przy stołach pili herbatę. Panna Joasia kręciła się między nimi roznosząc chleb. Józek opowiadał jakąś „wspaniałą" historję o tem, jak zeszłego roku na prima aprilis rozsprzedał całą paczkę starych gazet, jako dodatek nadzwyczajny. Historja była (jak wszystkie historje Józka) najoczywiściej zmyślona i chłopcy wiedzieli o tem, lecz mimo to zanosili się ze śmiechu.

Przybysz stał wciąż w progu oszołomiony ruchem, gwarem, ciepłem i światłem, niezdecydowany czy nie umknąć i przyciągany z niepokonaną siłą przez rozgrzany do czerwoności piecyk i stół z herbatą.

— Jesteś tu pierwszy raz? — zapytał nagle pan Piotr i słowa jego zwróciły na chłopca uwagę kilku siedzących przy stole gazeciarzy.

— O! Nowy! — powiedział Fed'ko.

— Patrz! Ma skrzypce! — zawołał Moniek.

A Janek poznał.

— Przecie to ten cygan, co po podwórkach i na ulicy gra!

— Cygan! Cygan! — chłopcy zaciekawieni stłoczyli się wokół niego.

Cygan zorjentował się natychmiast w położeniu: chwila była ważna i rozstrzygająca. Wiedział z doświadczenia, że teraz może z równem prawdopodobieństwem dostać w kark i „wylecieć“ za drzwi, jak otrzymać chleb i herbatę.

Uśmiechnął się trochę zuchwale, a trochę obłudnie, pochylił się ku nim wdzięcznym i miękkim ruchem restauracyjnego grajka, wsadził skrzypce pod brodę i skoczna melodja jakiejś ulicznej piosenki popłynęła przez świetlicę.

Chłopcy zrozumieli.

Cygan przychodził do nich podobnie, jak przychodził na podwórza domów. Włóczęga do ludzi osiadłych. „Grajek“ do wypoczywających po trudzie dnia pracowników. Oni byli przecież niejako gospodarzami tej jasnej i ciepłej izby, ludźmi posiadającymi stałe zajęcie, granatowe lub czerwone czapki z lampasami, jakichś gdzieś „zamieszkałych“ rodziców, krewnych, czy choćby znajomych.

I oto ten mały włóczęga przyszedł im zagrać. Wkupiał się niejako tą muzyką w ich łaski.

Popatrzyli po sobie z uśmiechem. Dobrodusznym uśmiechem ludzi zamożnych, zagospodarowanych, i ostatecznie — „mogących sobie przecież pozwolić“...

I Janek, którego nie dalej jak wczoraj policjant wyrzucił z dworca kolejowego, gdzie zwykle sypiał, splunął teraz niedbałe przez zęby i powiedział:

— Ta zostań u nas jak chcesz! Ta nikt ci nie broni! A machnij no jeszcze tego sztajerka.

Fed'ko zaś, który był jeszcze bardzo nieśmiały, bo niedawno przywędrował ze wsi i z tego powodu chłopcy wyśmiewali go, „nabierali“ i nazywali „Iwanem“ dodał protekcyjnie.

— Miejsca dla ciebie wystarczy, nie bój się!

— Ny, czy my ci żałujemy ten kubek herbaty albo ten kawałek chleba? — uzupełnił Moniek, którego przez dłuższy czas chłopcy nie chcieli wpuścić do świetlicy, gdyż jak twierdzili, „będą się brzydzili pić po żydziaku“. I podał cyganowi kubek z herbatą i kromkę chleba. Odtąd Cygan począł odwiedzać świetlicę.

Z początku tylko wtedy, gdy był mróz, śnieg lub deszcz, potem coraz częściej, a wreszcie stał się jej codziennym gościem.

Przychodził a wraz z nim przychodziły jego piosenki.

„Szlagiery" uliczne podsłuchane gdzieś u śpiewaków podwórzowych, huczne wiejskie tańce z przydrożnych karczem, rozlewne dumki ukraińskie, tęskne i dzikie pieśni cygańskie.

Napełnił świetlicę tą muzyką, przepoił ją niejako, przyzwyczaił ją do niej tak, że kiedy grał nikt nie zwracał niemal na niego uwagi, ale kiedy przerywał robiło się nagle nieprzyjemnie cicho. Rozdokazywani lub zajęci jakąś robotą chłopcy milkli i spoglądali na niego niecierpliwie.

Niepostrzeżenie weszło także w zwyczaj nucenie piosenek Cygana. Mruczało się je przy szachach, wyśpiewywało się w ich takt zadane lekcje, a nawet używało się ich jako pobudki drażniącej przeciwnika, zamiast poprzedzających walkę wyzwisk, lub tryumfalnej fanfary obwieszczającej zwycięstwo.

Pewnego dnia pan Stach sprowadził do świetlicy jakiegoś starszego pana, który przysłuchiwał się dość długo grze Cygana, a potem powiedział:

— Czy chcesz się u mnie uczyć? Bo to widzisz — nie jest jeszcze muzyka. Cygan zastanowił się chwilę, potem nagle podał mu skrzypce i powiedział:

— Niech pan zagra.

Pan roześmiał się, wziął skrzypce i zagrał.

Melodja była jakaś obca, nic nie mówiąca, pełna piskliwych, biegnących wgórę tonów.

— No? — zapytał oddając Cyganowi skrzypce.

Cygan wziął je, popatrzył na niego trochę obłudnie a trochę drwiąco z pod przymrużonych rzęs i odpowiedział:

— Nie. Z tej nauki to nic nie będzie.

Pan zaczerwienił się, odwrócił się gwałtownie i wychodząc mruknął do pana Stacha:

— Nie warto. Zarozumiały, zepsuty i zmanierowany.

Ale chłopcy byli strasznie zadowoleni:

— A to go zmył!

Świetlica bowiem była dumna ze „swego" grajka.

Nie przeszkadzało to jednak temu, że Cygan zajmował w niej jakieś inne niż wszyscy chłopcy i dziwnie podrzędne stanowisko.

Ne był ani ich kolegą, ani towarzyszem, ani nawet — gościem.

Był „ich" grajkiem.

Nie znaczy to jednak wcale, by mu dokuczano lub krzywdzono go. Przeciwnie. Względem nikogo nie byli może chłopcy tak łagodni i uprzejmi jak wobec niego.

W ciasnej świetlicy kłócono się często, a nawet bito o miejsca. Zaledwie jednak Cygan stawał trochę onieśmielony i jakby wiecznie spłoszony we drzwiach, a już któryś z chłopców podsuwał mu stołek — niech sobie siądzie. Mało się to „taki" nałazi?...

Swojej kolejki przy herbacie nikt nie ustąpiłby koledze, ale Cyganowi pierwszy z brzegu podawał łaskawym gestem swój chleb i kubek z herbatą — na, pojedz sobie!

Nikomu jednak nie przychodziło nawet do głowy wciągnąć Cygana do jakiejś wspólnej zabawy, wdać się z nim w przyjacielską pogawędkę lub „spróbować na francuską“.

Czy zresztą sam Cygan odczuwał w jakiś bolesny sposób odrębność swego stanowiska czy też był do tej odrębności przyzwyczajony? Niewiadomo. W każdym razie pozostawał w świetlicy coraz to dłużej i stawał się codzień weselszy, śmielszy i rozmowniejszy. Znikła gdzieś bez śladu płochliwość jego ruchów. Nie czekał już w progu na podsunięty mu stołek, ale lekko i zgrabnie wskakiwał na stół, jak wesołe i oswojone zwierzątko, które wie, że mu wiele wolno. Siadał na nim, pokazywał w uśmiechu swe białe, równe zęby i z miejsca zaczynał grać lub paplał coś (na co zresztą nikt nie zwracał uwagi) w swoim łamanym, chrapliwym języku, wybuchając co chwila śmiechem.

Coraz bardziej też zajmowało go oprócz chleba i herbaty życie świetlicy. Włóczył się po sali, stawał za plecami chłopców przysłuchując się ich rozmowom i przyglądając grom, przerzucał książki i pisma i uśmiechał się do obrazków. Nie drzemał już przy piecu podczas pogadanek, ale błyszczącemi z ciekawości oczyma wpatrywał się w pana Stacha.

A kiedy pewnego razu pan Piotruś przyniósł do świetlicy nowy obrazek i powiesił go na ścianie, cygan, który stał przed nim długo i przypatrywał się z zachwytem, trącił nagle pana Piotrusia w bok i powiedział:

— Ładnie będzie teraz u nas — co, panie?

W tym to właśnie czasie otrzymaliśmy w darze Ping-Pong. Gra ta stała się odrazu manją świetlicy i wyparła wszystkie inne gry. Chłopcy gotowi byli się w nią bawić od rana do wieczora. Jednakże Ping-Pong był tylko jeden. Ustanowiono więc „kolejki“ i gracze musieli długo czekać zanim zostali dopuszczeni do upragnionego stołu.

Pewnego dnia, właśnie kiedy Antek i Fed'ko mieli zająć swoje miejsca, Cygan odezwał się najniespodziewaniej swoim niskim, gardłowym głosem:

— Teraz jest moja kolej!

Chłopcy narazie osłupieli. Antek i Fed'ko uznali to jednak widać za dobry żart, bo wybuchnęli śmiechem.

Ale Cygan nie śmiał się wcale. Czerwony z gniewu odsunął od stołu Fed'ka

— Teraz jest moja kolej! — powtórzył — moja i jego!

Każda para graczy rozporządzała tylko dwudzietsoma minutami, poza które nie wolno było jej wykroczyć. Czas więc zużyty na spór z Cyganem był czasem niepowrotnie straconym. Toteż jego natręctwo rozgniewało Fed'ka.

— Twoja kolej! — zawołał — Ty masz tu coś swojego! Zabieraj się, żebyś nie dostał, czegoś nie zgubił! Zabieraj się mówię i nie przeszkadzaj pókim dobry!

Ale Cygan ani myślał ustąpić.

— To moja kolej! Ty będziesz potem, Fed'ko. To moja kolej teraz!

Fed'ko aż zatrząsł się z gniewu, ale niewiarygodne zuchwalstwo Cygana odbrało mu niemal mowę: ten łazęga, ten miaukacz podwórzowy, chce jego Fed'kę w kolejce wyprzedzać! Nie, to się poprostu w głowie pomieścić nie mogło!

— Widzieliście no, moi kochani! — zwrócił się tylko do kolegów.

I dziwna rzecz. W mgnieniu oka, niby prąd iskry elektrycznej, gniew Fed'ka udzielił się całej świetlicy.

Gdyby Cygan poprosił Fed'kę lub któregokolwiek z nich: „dajcie i mnie się choć trochę pobawić!" to napewno każdy z nich ustąpiłby mu wspaniałomyślnie na parę chwil swojej rakietki. Ale żeby taki Cygan, taki włóczęga przygarnięty przez nich z litości, dopominał się u nich, u swoich można powiedzieć gospodarzy, jakichś praw! I żeby taki „pogan", takie „złodziejskie nasienie" (bo przecież każdy cygan to złodziej) pchał się do równości i do koleżeństwa z nimi!

Odżyły nagle drzemiące gdzieś w głębi serc wspomnienia cyganek, wypędzanych brutalnie, o ile nie przeszkadzał temu przesądny strach lub ciekawość, od progów najnędzniejszych nawet domów i sklepików.

Obozów cygańskich, którym wyznaczano we wsi pewne ściśle określone miejsce z surowym zakazem włóczenia się po chałupach.

Kradzieży, łotrostw i „uroków", które składano na ich barki.

I oto — kolega się znalazł! O „swoją kolej" się upomina.

Posypały się jak grad wyzwiska, gwizdy uciechy, szyderskie okrzyki zachęty:

— Dobrze! Nie daj się Cygan! Przecie tu wszystko twoje! Co będziesz takiego Fed'kę przed sobą puszczał!

Ale Cygan stracił nagle swoją zwykłą czujną ostrożność, swoje wyczucie każdego grożącego niebezpieczeństwa i trwogę przed każdem starciem. Stał naprzeciw nich i zachłystując się łzami krzyczał jak nieprzytomny, tupiąc nogami w prawdziwym szale wściekłości:

— To moja kolej! To była przecież moja kolej! — a potem jakby nagle przypominając sobie o czemś i wysuwając ostatni argument — I pan Piotruś przecież powiedział, że ja jestem... że ja jestem także... kolega!

I wtedy cała świetlica wybuchnęła śmiechem.

Złym, szyderskim, smagającym jak bicz; śmiechem. Chichotano, pokładano się, zanoszono się, poprostu ,,ryczano" ze śmiechu.

Cygan przestał płakać i krzyczeć.

Jego czarne oczy zwęziły się, ruchliwa smagła twarzyczka stężała, na dziecinnem czole wystąpiła podłużna ciemna żyła, a białe zęby błysnęły jak u wilczka. Jeden skok i — Cygan rzucił się na Fed'ka.

Rzucił się na niego zapominając o wszystkiem.

O tem, że jest mały i słaby i o tem, że jest sam i że jest przecież — tylko Cyganem. Nawet o skrzypcach.

Ale wtedy... tak wtedy rzuciła się na niego zgodnie, z rzadką naprawdę solidarnością, cała świetlica: Polacy, Rusini, Żydzi i nawet grzeczny i układny Niemczyk, mały Pepi Glückauf.

Nie. Właściwie nie bito go. Popychano go tylko pięściami, rzucano go sobie jak piłkę, bawiono się nim w Ping-Pong'a w jakiejś okrutnej pół zabawie, a pół bójce.

Była jednak w tej „grze" taka zacięta wściekłość, że pan Piotruś napróżno usiłował ich przekrzyczeć i utorować sobie drogę do Cygana przez skłębiony tłum chłopców.

W pewnej jednak chwili usłyszał coś, jak trzask drzewa i jęk pękających strun, a potem — krzyk. Krzyk tak straszny i tak nieludzki, że nietylko pan Piotr zbladł i cofnął się, ale wszyscy chłopcy odskoczyli od Cygana przerażeni i w świetlicy zrobiło się nagle zupełnie cicho.

Cygan stał na środku pokoju sam.

Jego smagła, ściągła twarzyczka była teraz cała jak papier, a szeroko rozszerzone oczy wpatrzone z wyrazem tępego zdumienia i przerażenia w skrzypce.

Trzymał je w wyciągniętej przed siebie ręce, jak coś martwego, czego obawia się dotknąć.

A potem powoli, wciąż z tym samym wyrazem tępego zdumienia i grozy w oczach, zbliżył je do siebie i ostrożnie, jakgdyby dotykał ran, dotknął końcami drobnych, smukłych palców, zerwanych strun i strzaskanego drzewa. I nagle, z krzykiem straszniejszym jeszcze i bardziej przejmującym niż poprzedni, krzykiem, w którym brzmiały jakieś obce nieznane wyrazy rozpaczy czy bólu, odrzucił od siebie skrzypce, uderzył głową w drzwi tak, że się przed nim roztworzyły i wypadł na ulicę.

Chłopcy i pan Piotr stali jak wmurowani w ziemię nie śmiejąc odezwać się i poruszyć.

Pierwszy ocknął się Józek.

— Trzymać go! Trzymać! Nie wypuszczać! — krzyknął i rzucił się za Cyganem a za nim cała świetlica.

Napróżno jednak rozbiegli się po wszystkich ulicach, napróżno zaglądali do bram, napróżno przetrząsali całą dzielnicę — Cygan znikł, jakgdyby się w ziemię zapadł.

Wieczorem wrócili na herbatę zmęczeni i milczący.

Nikt nie żartował, nikt nie bił się, nikt nie kłócił się o drugą porcję chleba. Jedli w milczeniu, wpatrzeni ponuro w swoje kubki, od czasu do czasu zerkając tylko ukradkiem na pana Piotra, który siedział przy oknie z książką nie zwracając na nich uwagi, jakgdyby ich wogóle w świetlicy nie było i — nic. Ani słowa. Jakby go zamurowało. Że aż niewiadomo było gdzie się podziać, że aż znieść tego nie było można!

Wreszcie Józek odważył się pierwszy.

— Panie Piotrusiu! — powiedział.

— No? — zapytał obojętnie pan Piotr podnosząc z nad książki oczy chłodne i jakby nikogo nie widzące.

— Ile my mamy w naszej kasie?

— Koło 45 złotych.

— A... a czy za to można kupić skrzypce?

Wszyscy chłopcy drgnęli i nagle podnieśli oczy.

— Można. — odburknął niechętnie pan Piotr.

— No to... — zawołał Moniek, który siedział skurczony nad swoim kubkiem i nie tknął nawet jeszcze chleba — no to... załatwione!

Ale pan Piotr spojrzał na niego z taką zimną pogardą, że Moniek skulił się jeszcze bardziej jak pod uderzeniem pięści.

I odtąd chłopcy zaczęli czekać na Cygana.

Właściwie nie mówiło się o nim wcale. Tylko kiedy przychodziła ta pora, o której zwykle wpadał do świetlicy Cygan, wszyscy podnosili głowy za każdem skrzypnięciem drzwi.

I nikt już nie nucił.

I nikt nie chciał bawić się w Ping-Pong‘a.

Mijały dnie. Cygan nie wracał. Ale (dziwna rzecz) nie można się było do tej jego nieobecności przyzwyczaić.

W świetlicy było przecież tak ciasno i tłoczno, a jednak miało się ciągle wrażenie, żc jego miejsce jest puste i że nikt nie może go zająć.

Było to tak, jakgdyby nagle wytworzyła się niczem nie zapełniona próżnia. Bo niby krzyczą chłopcy, rozmawiają, sprzeczają się,

ale pozatem wszystkiem, zamiast muzyki Cygana jest tylko dzwoniąca cisza.

Pewnego wieczoru w świetlicy było dziwnie szaro, smutno i nudno.

Padał taki sam deszcz ze śniegiem, jak wówczas, kiedy Cygan przyszedł po raz pierwszy. Kilku chłopców przewracało ziewając stare pisma ilustrowane. Kilku grało w domino, ale tak jakoś niedbale i od niechcenia, nie patrząc niemal na kostki.

Pan Piotruś i Józek stali przy oknie.

Przez zamazane szyby ledwie było widać skrawek wciśniętego między mury kamienic podwórka. Ale oni stali tak już od godziny, jakby wyglądali kogoś kto musi dzisiaj nadejść. Nikt jednak nie przychodził. I wreszcie Józek nie mógł już dłużej znieść tego milczenia i wybuchnął:

— A przecież lubiliśmy go wszyscy!

— Tak! Wszyscyśmy go lubili! — zawołał Fed'ko i gwałtownie odsunął od siebie szachownicę.

Pan Piotruś uśmiechnął się blado.

— Lubiliście go. Póki nie poczuł się równy wam i bliski i nie zaczął się upominać o swoje prawa. To bywa, moi chłopcy, to bywa.

— Ale przecież on pierwszy zaczął! Przecież wszyscy mogą zaświadczyć, że pierwszy!

— No tak, moi chłopcy, no tak. Skrzywdzony zaczyna zawsze pierwszy.

Deszcz uderzał miarowo o szyby i ściekał po nich dużemi kroplami roztapiającemi się w długie, srebrne strumyczki. A cisza w świetlicy dzwoniła natrętnie, dokuczliwie, nieznośnie.

I Józek czuł, jak pęcznieje w nim i rośnie bunt przeciw deszczowi, przeciw temu zamkniętemu w murach jak w studni podwórku, przeciw konieczności tego co jest i co było.

Bo wszakże zawsze powinno być wolno (jeżeli się tego naprawdę chce) — wymazać!

— No dobrze! — zaczął niemal krzyczeć. — No dobrze! Niech będzie, żeśmy go skrzywdzili! Ale dlaczego on nie przychodzi, jeżeli my chcemy naprawić?! Dlaczego jego niema?!

Pan Piotr milczał chwilę. Brwi miał ściągnięte, a oczy śmiertelnie smutne.

— Widzicie, moi chłopcy, — powiedział cicho — najgorsze w życiu to jest właśnie to, że krzywdy nie można naprawić.

Prawie nigdy.

Pamiętajcie o sierotach i dzieciach opuszczonych!

ELLA STOFFOWA.

Ciężkie problemy Poradni dla Młodzieży.

W jednym z poprzednich numerów „Przeglądu Społecznego“ podałam statystykę pracy Poradni dla Młodzieży. Kto z czytelników uważnie ją przeczytał, stwierdził zapewne, że poza cyfrą, ilustrującą pośrednictwo pracy, która siłą faktu w dzisiejszych czasach wysunęła się na czoło, największą jest cyfra, przedstawiająca ilość zgłoszeń w sprawach wychowawczych. Nie przypisuję naszej bądźcobądź młodej i skromnej Poradni zasługi naprawy warunków wychowawczych w 578 zgłoszonych wypadkach, nie mogę nawet z przekonaniem powiedzieć, że choćby w stu było nam możliwe zupełnie skutecznie wkroczyć.

Jednak przy opracowaniu i przeszeregowaniu aktów z okazji zmiany roku, przekonałam się na podstawie naszego materjału ponownie o tem, że wychowanie wychowawców było słusznie problemem dawno znanym, ale nie dostatecznie docenianym. Wszyscy wiedzą, że nauczyciel, kierownik zakładu, ochroniarka, wreszcie wszyscy ci, którzy się zawodowo wychowaniem dziecka zajmują, muszą wiele pracy i czasu poświęcić zanim im się wychowanie dziecka powierzy. Przy ich szkoleniu nie jest jednak najważniejszem pogłębianie materjału naukowego t. zn. programowej wiedzy, ani opanowanie gier towarzyskich lub ładnych robót ręcznych, najważniejszą stroną szkolenia wychowawcy powinno być kształtowanie się jego własnej osobowości. Uczelnia, którąby z absolwentów swoich robiła ludzi przeładowanych wiedzą programową, nie mogłaby się pochwalić dobrym wynikiem pracy.

Czy celowe wychowanie zawodowych wychowawców rozwiązałoby problem racjonalnego wychowania dzieci? Nie!

Musimy sobie zdać sprawę z tego jak małym jest niestety udział wychowawcy zawodowego w wychowaniu dziecka. Ile dzieci nie mogąc w wieku przedszkolnym uczęszczać do ochronek jest zdanych na nieumiejętne, a czasem nawet bardzo szkodliwe wychowanie przez rodziców lub ulicę, właśnie w tym okresie życia, w którym się kształtuje charakter późniejszego człowieka. Dalej dzieci szkolne, które wychowuje choćby najlepszy wychowawca, ale tylko w ciągu kilku godzin w czasie pobytu w szkole, spędzają resztę dnia pod wpływem niefachowego, bardzo często szkodliwego otoczenia, wreszcie młodociani, z wyjątkiem tej małej ilości, która uczęszcza do szkół zawodowych są prawie zupełnie pozbawie-

ni odpowiedniej opieki. Nie chcę tu określać tego co jest złem, lub tego co mogłoby być dobrem, stwierdzam tylko na podstawie wieloletniej mojej pracy nad pielęgnacją i wychowaniem dziecka, że niestety w pracy wychowawczej bierze udział bardzo dużo ludzi, którzy nigdy w wychowaniu szkoleni nie byli. Przedewszystkiem należą do nich rodzice, którzy od stuleci dzieci wychowują, kierując się przeważnie tylko instynktem. Opierając się na doświadczeniach naszej Poradni muszę stwierdzić, że w najcięższych przypadkach trudności wychowawczych cała wina była po stronie rodziców, że ani instynkt, ani węzły pokrewieństwa, ani nawet miłość i najlepsze chęci nie uchroniły ich przed popełnieniem bardzo przykrych i poważnych w swych skutkach pomyłek. Nie chcę absolutnie występować jako obrońca dzieci, ale stwierdzam, że nie raz było dziecko narażone na przykre i poniżające przesłuchanie w Poradni tylko dlatego, by matkę lub ojca o błędach wychowawczych pouczyć, natomiast nigdy nie miałam ciężkiego przypadku wychowawczego, gdzieby wyłączną winę ponosiło dziecko. Rzeczą jasną jest, że dobre, zgodliwe małżeństwa i pogodne środowiska są podatnym terenem dla wychowania dziecka, to też nie rzadko się zdarza, że porada wychowawcza dla dziecka kończy się poradą małżeńską dla rodziców. Nie jest to moje odosobnione zdanie, ale ze strony nauczycieli, wychowawców i ochroniarek słyszą bardzo często, że w wadach dzieci widzą konsekwencje błędów wychowawczych rodziców; wszak błędy charakteru wychowawców prowadzą niestety do błędów struktury charakteru dziecka. Nie przeczę, że może przedtem brak wychowania fachowego nie dawał się tak dotkliwie odczuwać, ale dziś kiedy warunki w których chowa się przyszłe pokolenie tak się zmieniły i z dnia na dzień się zmieniają są też warunki i potrzeby wychowawcze inne niż przed laty. Cały tryb życia jest skomplikowany a tem samem i wychowanie tych, których do walki z niem przygotowujemy.

To też tylko dlatego, a nie z tego powodu, że się dziś zadużo uwagi dzieciom poświęca, stała się kwestja wychowania dziecka ciężką. Wysyłanie dzieci na kolonje i półkolonje, wycieczki szkolne, danie im możności zżycia się z naturą, poznania i zrozumienia jej, wszelkie sporty i gry na świeżem powietrzu, korzystanie ze słońca i piasku nie są tylko wymogami higjeny nowoczesnej, lecz także dowodem, że instynkt wychowawczy nie wystarczył, a postępująca w tym kierunku kultura wywołała przewrót w systemie wychowania dziecka.

To co dotychczas powiedziałam, a mianowicie, że rodzice powinni się przygotowywać do wychowania swych dzieci, naturalnie stosuje się w najrozleglejszej mierze do wszystkich tych, którzy się wychowaniem obcych dzieci zajmują, lub nawet tylko choćby

przypadkowo z niemi się stykają, mam tu na myśli ogrodnika w publicznym ogrodzie, konduktora w tramwaju, tercjana w szkole, a wreszcie wszystkich tych, którzy sobie uzurpują prawo wychowywania dzieci, nie wiedząc ile poniżeń i urazów mogą spowodować. Wystarczy przecież tylko aby dziecko wsiadające do tramwaju skrzywiło minkę lub zapłakało, a już wszyscy czują się powołani do czynienia mu uwag, nie wiedząc naturalnie z jakich pobudek dziecko zaczęło płakać, a nie zastanawiając się również, jakie szkody mogą swojem pouczaniem temu małemu człowiekowi wyrządzić, kiedy, w jakim wieku i w jakiej ważnej sytuacji może się to dziecko spowodu tej niestosownej uwagi załamać. Trudno żądać od wszystkich ludzi dorosłych fachowego przygotowania do kierowania dzieckiem, jednak wymagaćby należało odpowiedzialnego postępowania, które nie mogąc zapobiec złu, przynajmniej go nie prowokuje. Jasnem jest, że do naprawy zegarka lub dzwonka nie zabierze się ktoś, któryby w tym kierunku nie był specjalnie szkolonym, a do najbardziej skomplikowanego i drażliwego co posiadamy, do życia psychicznego dziecka t. zn. do kształtowania charakteru przyszłego człowieka zabiera się każdy, chyba tylko na tej podstawie, że sam był kiedyś dzieckiem i to jedyne doświadczenie nadaje mu te wątpliwe prawa.

Że wychowanie wychowawców jest kwestją ważną i bezwzględnie potrzebną, że się tego uczyć można, świadczy stworzenie całego szeregu placówek, które właśnie specjalnie matki chcą pouczać. Powstały w tym celu poradnie dla matek, szkoły matek, we wszystkich szkołach, ochronkach, świetlicach odbywają się na ten temat pogadanki; koła rodzicielskie pracują również nad uświadomieniem tych matek, które dotychczas z braku zrozumienia i czasu o tem tak ważnem przygotowaniu pomyśleć nie chciały. Okazja więc do pogłębienia wiedzy w tym kierunku jest, należy sobie tylko życzyć by z niej szerokie sfery korzystać chciały. Wreszcie dodać należy, że są ludzie, którzy dzięki swoim wrodzonym zdolnościom są racjonalnymi wychowawcami, zdarza się to jednak bardzo rzadko, ale i ci twierdzą i to na podstawie doświadczenia, że wychowanie dziecka powinno być oparte na głębokiej i dokładnie przemyślanej pracy.

To, co dotychczas powiedziałam, potwierdza, że każdy człowiek w pewnej mierze odpowiedzialnym winien być za wychowanie tych, z którymi właśnie przypadek go zetknął, czy są to dzieci czy młodociani czy nawet starsi, a że każdy na drodze życia spotka się z taką jednostką jest rzeczą pewną.

Są rozmaite typy wychowawców. Zdarzało się, że najidealniejszy wychowawca, który znakomicie prowadził jedno dziecko, zupełnie zawodził przy wychowaniu gromadnem i naodwrót. Po-

zatem wykazały rozmaite statystyki, że wychowawca, który świetnie prowadził oddział dwunastoletnich chłopców, nie dał rady siedemnastoletnim. Wszak każdy rok w życiu dziecka wymaga specjalnego nastawienia i odrębnego traktowania.

Wiadomem nam już jest dzisiaj, że wychowanie dziecka nie powinno się zaczynać dopiero wtedy kiedy ono zaczyna rozumieć. Wychowywać musimy niemowlę od najwcześniejszych dni jego życia, bo przyzwyczajanie do regularnego przyjmowania pokarmów, do znoszenia nieprzyjemnych uczuć jak głód lub wilgoć, są pierwszem zadaniem wychowania, które reguluje dalszy rozwój dziecka.

Co wobec tego ma wychowawca wiedzieć? Czy dać mu przepisy wychowawcze, z tem, że jeśli zajdzie ta lub inna potrzeba, ma zastosować to lub owo?

Każdy, który kiedykolwiek z wychowaniem dziecka się zetknął, zbuntowałby się natychmiast.

Zawodzi dziecko w jakimkolwiekbądź kierunku, jest to objawem, że straciło ono zaufanie do siebie z przyczyn nie zaraz uchwytnych, może to być rozpieszczenie, upokorzenie lub wynik jakiegoś przykrego przejścia spowodowanego przez najbliższe otoczenie. Rzeczą wychowawcy jest pomóc mu wyjść zwycięsko z tej walki wewnętrznej, nie ganić i nie robić wyrzutów, z największą delikatnością dać mu ponosić konsekwencje swoich czynów i zwrócić mu utraconą równowagę. Reakcję na złe postępowanie dzieci trzeba absolutnie kierować indywidualnie wedle wieku dziecka, a zanim się zacznie błąd naprawiać, zbadać dokładnie jego powód i źródło.

Przez autorytatywne postępowanie wychowawcy osiągniemy rezultat wręcz przeciwny temu, jakiśmy zdobyć chcieli, a to specjalnie w tych wypadkach, gdzie ono będzie wyrazem surowości i braku miłości. Nigdy nie wychowamy na jednostkę uspołecznioną dziecka, które nie zaznało w dzieciństwie miłości ani zrozumienia. To co uważamy za niegrzeczność nie jest jeszcze właściwą wadą t. zn. niegrzecznością lub złem wychowaniem. Zupełnie tak samo jak gorączka nie jest chorobą, tylko jej symptomem, tak kłamstwo, brak ochoty do jedzenia są oznaką, że w stanie psychicznym dziecka coś nie jest w porządku, a rozmaite przyczyny mogą u dziecka jednakową wywołać reakcję.

Z jednej strony może reakcja na rozmaite przeżycia być jednakową, z drugiej mogą jednakie przeżycia uwypuklić się w rozmaitych sposobach zachowania.

Przykład 1. Jedynak, który nie ma sposobności przebywania w towarzystwie rówieśników, ucieka od dzieci, gdy ma się z niemi bawić, jest małomówny i tchórzliwy. Albo jest agresywny, nie może się nakłonić do wspólnej zabawy i żąda energicznie ustępstw, do których go rodzice przyzwyczaili.

Przykład 2. Dziecko, które zostało bez powodu poniżone, staje się albo bardzo pewne siebie i agresywne, albo traci zupełnie pewność siebie.

Z przykładów powyższych widzimy, że z przepisami wychowawczemi nie damy rady. Przy wychowaniu dziecka nie wolno nam poprzestać na obserwacji jego zachowania, lecz musimy znaleźć źródło zła, przy uwzględnieniu osobowości wieku i środowiska jego.

Jeśli się zgłasza w Poradni matka z zapytaniem „co mam robić, moje dziecko jest krnąbrne?", nie wystarczy dać jej kilkanaście wskazówek jak się ma zachować wobec dziecka, ale trzeba znaleźć przyczynę, dlaczego ono jest krnąbrne.

Nieraz zdarzyło mi się, że ludzie, którzy nigdy z wychowaniem ani psychologją dziecka nic wspólnego nie mieli, dali się wciągnąć do współpracy i tylko w tych przypadkach mogłam osiągnąć dobry wynik, gdzie uzyskałam zrozumienie i pomoc rodziców. Wszak tylko wtenczas gdy rodzice chcieli zrozumieć, że reakcja dziecka nie była chęcią złoszczenia ich lub kogokolwiek z otoczenia, poprawiła się sytuacja dziecka w domu, a w ślad zatem nastąpiła też poprawą stanu psychicznego dziecka.

Tylko ten, który różnych reakcyj dziecka nie zechce zrozumieć jako osobiście przeciw sobie skierowanych, lecz będzie dokładnie obserwował symptomy i dociekał ich źródła, pomoże dziecku pokonać trudności życiowe i przygotuje je do współżycia socjalnego.

Dr. ZOFJA LISSA.

Społeczna rola radja w kulturze muzycznej.

Każdy nowy element kultury duchowej nietylko wyrasta z pewnego podłoża społecznego, ale i naodwrót, już w chwili swego zaistnienia zaczyna oddziaływać na całokształt tej kultury, nabiera pewnych funkcyj społecznych. Tak było i z radjem. Zanim jeszcze od strony technicznej zostało udoskonalone, zanim osiągnęło swe dzisiejsze rozpowszechnienie i popularność, uświadomił sobie cały świat muzyczny odrazu, że muzyka rozpoczyna w tej chwili nowy etap, że powstał tu czynnik, który zmieni całe dotychczasowe społeczne oblicze muzyki, formy jej uprawiania i sposób przeżywania. Tak jak wiek 19. zdemokratyzował tę sztukę,

wyprowadził ją z dworów królewskich, z zamków książęcych i magnackich i udostępnił warstwie mieszczańskiej, tak dziś radjo dokonało ostatecznej socjalizacji muzyki. Udostępniło ją wszystkim bez wyjątku klasom i warstwom społecznym. A uczyniło to lepiej i gruntowniej, aniżeliby to mogły zrobić wszelkie koncerty ludowe, chóry robotnicze czy włościańskie, czy nawet najbardziej przemyślane i pogłębione metody wychowawcze.

Kiedyindziej przeszłyby może lata całe zanim z tego faktu narzuciłyby się muzykom jakieś wnioski. Dziś żyjemy i myślimy prędzej. Już w pierwszych latach zaistnienia radja uświadomili sobie muzycy, że radjo otwiera nowe możliwości oddziaływania wychowawczego na masy, że — jeśli nie zniesie — to zatrze w pewnym stopniu ostre dotąd granice między światem „wtajemniczonych" muzyków a masami anonimowej publiczności, że wzbudzi w nich nowe zainteresowania, rozpowszechni tę sztukę i podniesie jej poziom.

Tymczasem pierwsze dziesięciolecie popularności radja nadziei tych nietylko że nie zaczęło spełniać, ale wyłoniło problematy i zawiłości, które z wychowawczych zadań radja na terenie muzyki uczyniły dylemat prawie że nie do rozwiązania. Zamiast kształcić masy, radjo zostało zmuszone do zniżenia swego poziomu, zamiast wychowywać — musiało się dostosować do niveau swych przeciętnych odbiorców, zamiast podciągać ich ku sobie — zeszło ku nim i schodzi coraz bardziej, ograniczając procent dobrej muzyki z roku na rok. Tak dzieje się na całym świecie. A przyczyny tego zjawiska są wszystkim jasne i zrozumiałe: różnorodność warstw, zainteresowań i upodobań słuchaczy radjowych zmusza radjo jużto do pewnej wielopłaszczyznowości, jużto do szukania poziomu przeciętnego w swych programach muzycznych. Pogodzenie tych tendencyj nie udało się — jak dotąd — nigdzie i nikomu. Zawsze jakaś część odbiorców pozostaje niezadowolona. Muzycy narzekają na przewagę ilościową kiczu, innym zawsze jest zamało lekkiej strawy, muzyki tanecznej. W gruncie rzeczy z walki między wysublimowanym smakiem artystycznym a potrzebą tanich rozrywek wychodzi zwycięsko — miernota. I dlatego radjo nie mogło narazie spełnić swego głównego zadania wobec kultury muzycznej — nie mogło zacząć wychowywać.

Tak jest dziś, ale tak być nie musi. W rzeczywistości radjo m o ż e wpływać na podniesienie poziomu kultury muzycznej, może — sobie właściwemi środkami — oddziaływać wychowawczo na masy. A w jakich granicach to jest możliwe, oto problem, który chciałabym dziś omówić.

Powszechnie panuje przekonanie, że rozpowszechnienie kultury pociąga za sobą nieodzownie jej spłycenie. Że radjo, rozszerzając

krąg słuchaczy muzyki wpływa na obniżenie jej poziomu. Pogląd ten jest zdaje się z gruntu fałszywy. Wynika z światopoglądu przedwojennej jeszcze doby, w której splendid isolation było miernikiem poziomu sztuki, a prawdziwa sztuka była przeznaczona tylko dla garstki wybranych. Dziś patrzymy na te sprawy inaczej. Kultury muzycznej nie tworzą tylko jednostki najwybitniejsze. I szare masy odbiorców, anonimowy tłum słuchaczy różnego typu i poziomu składa się na jej całokształt. Ich poziom decyduje ostatecznie w oczach historji o tej kulturze, od ich poziomu zależą w pewnej mierze wyżyny, osiągane w nndywidualnym wysiłku twórczym przez genjalne jednostki. W pewnym sensie każdy członek orkiestry kolejowej, czy chóru drukarzy ma tak samo swoją misję społeczną i dziejową jak Beethoven czy Chopin. Historja notuje wprawdzie tylko wyczyny szczytowe. Ale wszelkie góry wyrastają z dolin — mówi Nietsche. A snując jego analogję dalej, można powiedzieć, że i wysokość tych gór zależy od poziomu dolin.

Radjo, rozszerzając kulturę muzyczną na masy nie musi jeszcze wpływać na jej spłycenie. Dając każdemu to, czego on żąda, umacnia tylko stosunek słuchacza do muzyki w tym zakresie i na takim poziomie, na jaki dany człowiek może się zdobyć. A że więcej jest takich, którzy żądają lekkiej muzyki, to chyba nie obniża poziomu tych, którzy już mają bardziej pogłębiony stosunek do tej sztuki. Popularyzacja przez radjo zainteresowała muzyką te najszersze masy, które się nią przedtem wogóle nie zajmywały. I teraz stajemy w centrum zagadnienia: radjo może spłycić przyszłą kulturę muzyczną, o ile te właśnie nieuprzedzone, surowe ale podatne wpływom masy poprowadzi w kierunku tandety muzycznej. W tym punkcie działalność radja staje się już społecznie odpowiedzialną. W jakim kierunku ono popchnie te masy — od tego będzie zależeć poziom przyszłej kultury muzycznej i historyczna ocena działalności radja. Nie należy się łudzić. Wychowywanie mas jest trudne, żmudne i nie dokonuje się odrazu. Tylko powolna, wieloletnia infiltracja dobrej muzyki, planowa i świadoma celu działalność może tu uzyskać jakieś wyniki. Ale i ona ma swoje granice, których przekroczyć nie zdoła. Jeśli ktokolwiek sobie wyobraża, że wychowawcze oddziaływanie radja może wpłynąć na przemianę smaku słuchaczy, to należy to sklasyfikować jako iluzję, opartą na całkowitej nieznajomości psychologji odbiorców muzycznych. Iluzję będącą źródłem nieuzasadnionych pretensyj wielu muzyków wobec radja.

Smak muzyczny każdego człowieka jest wynikiem dwojakich czynników: jego wrodzonych dyspozycyj muzycznych, jego konstrukcji psychicznej jako całości, oraz nabytej, wypracowanej kultury muzycznej, wykształcenia, osłuchania się w tej dziedzinie.

Otóż na poziom i kierunek zainteresowań muzycznych, wynikający z indywidualnej struktury psychicznej słuchacza radjo nie może wpływać modyfikująco. W każdej epoce istniały rozmaite zainteresowania muzyczne i rozmaite poziomy tych zainteresowań. Procentowy stosunek amatorów lekkiej i poważnej muzyki jest mniej więcej zawsze taki sam. Rozwój dziejowy, rozrost, rozpowszechnienie się kultury muzycznej nie może tego zmienić. I w epoce Palestriny i dziś i za paręset lat, nawet przy najdoskonalszych warunkach i metodach wychowania muzycznego, będą zawsze istnieli tacy, którym muzyka — że tak powiem — działa tylko na „naskórek“, którzy rozumieją tylko taniznę, kicz muzyczny, i inni, dla których ta sztuka jest dostępna w jej najgłębszych przejawach, a przeżycie muzyczne należy do najsilniejszych. W każdym gatunku biologicznym, bez względu na jego stadjum rozwojowe istnieją wśród jednostek różnice jakościowe. I homo sapiens, wraz z przejawami swej kultury zróżnicowaniu temu musi podlegać.

Nie wolno zatem mieć do radja pretensji, że w ciągu kilkunastu lat swego istnienia nie przeistoczyło amatorów lekkiej muzyki na skupionych odbiorców sztuki Beethovenowskiej, czy Bachowskiej. Radjo może kształcić każdego, ale tylko w ramach, zakreślonych jego osobowością. Granic tych żadne działanie wychowawcze nigdy przekroczyć nie zdoła.

Natomiast radjo może wychowywać tych wszystkich, których brak stosunku do dobrej muzyki wynika z przyczyn bardziej zewnętrznych, a nie z ich indywidualnych skłonności. Których upodobania w łatwiźnie mają swe źródła w tem, że nie mieli oni nigdy dostępu do muzyki, do nauki gry na jakimś instrumencie, do osłuchania się z prawdziwą i dobrą muzyką, a którym teraz radjo otworzyło nowe światy. Wnioski, które stąd płyną sięgają bardzo daleko: bo podział na tych, których braki wewnętrzne skierowują do tandety muzycznej i tych, których brak stosunku do dobrej muzyki jest wynikiem zewnętrznych okoliczności, mimo pewnej płynności granic — daje się łatwo przeprowadzić. Przeszkody zewnętrzne istniały i istnieją przedewszystkiem wśród klas pracujących, którym warunki bytu, ciężka walka o chleb codzienny nie pozwoliły nigdy na taki luksus, jakim jest nauka muzyki. Jeśli zatem wśród warstw zamożnych, wśród jednostek nawet kształconych muzycznie spotykamy nastawienie wyłącznie na lekką muzykę, to jest ono już tylko wynikiem wewnętrznych dyspozycyj, i nie da się nigdy przeinaczyć. Jeśli natomiast masy pracujące inklinują również do tego typu muzyki minoris gentium, to źródła tego mogą leżeć również w braku nabytej kultury, w niemożności uzyskania dostępu do głębszych warstw tej sztu-

ki. Aby uniknąć nieporozumień powtarzam: kiepski smak muzyczny człowieka, który m ó g ł się kształcić muzycznie lub nawet możliwości te realizował ma swe przyczyny wyłącznie w nim samym, to samo u robotnika czy chłopa może obok tego wynikać również z braku kontaktu z lepszą muzyką. Może być skutkiem tego, że jego dyspozycje wewnętrzne n i e zostały zrealizowane, nie wydobyte na powierzchnię, nie rozwinięte kształceniem się. W odniesieniu do tych właśnie ludzi radjo może spełnić w całej rozciągłości swe wychowawcze zadania. Staje się wtedy łącznikiem między muzyką a tymi, którzyby nigdy nie znaleźli inaczej dostępu do kosztownych sal koncertowych, czy nauki muzyki. Otwierać nowy świat przed tymi, których jedynym karmem na tem polu była dotychczas muzyka restauracyjna, czy koncerty orkiestr ogrodowych. I tu radjo może zdziałać niezmiernie wiele. To są bowiem warstwy jeszcze nie zepsute tanią zmysłowością szlagierów, lichotą pieśni brukowych, tam można jeszcze znaleźć szczery entuzjazm, zdolność do wzruszeń i cześć dla aktu twórczego; tam przedewszystkiem są złoża niezużytych jeszcze energij, nie wymienionych na drobną monetę sil psychicznych. W nastawieniu się na tych słuchaczy leżą zatem główne zadania radja wobec kultury muzycznej jutra. Tu jest pole działania, na którem radjo i tylko radjo może położyć fundamenta pod muzykę przyszłych pokoleń. Że praca taka nie natrafi na niewdzięczny teren, tego chyba najlepiej dowiodę, przytaczając wyniki ankiety, dokonanej przed kilku laty w Stanach Zjednoczonych. Na pytanie, który kompozytor w radjo wykonywany najbardziej słuchaczom odpowiada: największą ilość głosów wśród inteligencji zawodowej uzyskał Wagner, wśród finansiery amerykańskiej — Chopin, wśród artystów — Bach, natomiast wśród robotników — Beethoven! Po tem, o wrodzony zły smak nikt ich już chyba nie posądzi. A gdy porównamy ich warunki zewnętrzne i możliwości kontaktu z muzyką, z warunkami tamtych klas, cyfry te mają jeszcze silniejszą wymowę!

W kierunku zatem dobrej muzyki popularnej powinny iść główne starania kierowników radja. Bo transmitować dobrą muzykę dla muzycznie wykształconej publiczności to nie wielka trudność. Wystarczy znajomość literatury muzycznej, unikanie jednostajności programów i pewne wyczucie dla radjofoniczności nadawanych kompozycyj, by zadowolić jakościowo melomanów i muzyków.

Ale układ dobrych programów ł a t w e j muzyki wymaga jednak ogromnej ś w i a d o m o ś c i c e l ó w, poczucia o d p o w i e d z i a l n o ś c i s p o ł e c z n e j, a w konsekwencji tego p l a n o w e j i j e d n o l i t e j l i n j i d z i a ł a n i a, pomyślanej trochę na d a l s z ą metę, aniżeli się to dziś jeszcze dzieje. Przyznać na-

leży, że zadowolić aktualne potrzeby mas i zarazem działać z myślą o ich przyszłości, to rzecz bardzo trudna, ale może nie tak trudna jak się wydaje. W Niemczech przedhitlerowskich najwybitniejsi twórcy współcześni, jak Hindemith, Weill, Eisler i inni starali się już iść w tym kierunku. Tworzyć prawdziwie dobrą, a przystępną muzykę dla mas. I wśród polskich kompozytorów młodszego pokolenia coraz częściej słyszy się tego rodzaju postulaty. Ich poparcie przez radjo pozwoliłoby z jednej strony rozszerzyć się kulturze muzycznej w kierunku, który już dawno woła o urzeczywistnienie, z drugiej zaś strony umożliwiłoby i radju samemu spełnienie swej najważniejszej funkcji społecznej: wychowanie muzyczne tych, którzy się jeszcze dają wychować.

O poziom dolin trzeba dbać, bo one są kolebką szczytów.

Oceny.

Dr. LEON GUTMAN.

Świat i życie.

Na marginesie wydawanego przez „Książnicę-Atlas“ Lwów-Warszawa zarysu encyklopedycznego współczesnej wiedzy i kultury „Świat i Życie“ Tom I 1933.

I.

Nowa rzeczowość pedagogiczna, będąca wykładnikiem i wynikiem dokonanego przewartościowania tradycyjnych pojęć wychowawczych, wymaga siłą faktu jakościowo nowego aparatu pomocy naukowych, któreby umożliwiły młodym adeptom nauki twórczą i samodzielną pracę. Nie wystarcza bowiem nakreślać piękne cele, należy także „żłobić odpowiednie koryta, ażeby wyzwolona energja nie poszła na marne i nie stwarzała zatoru nie do przebycia wtedy, gdy młody człowiek zechce już mierzyć siły na zamiary. Bo jeśli nasz wychowanek nie ma być już więcej „stacją odbiorczą“, ale czynnym, twórczym — to musi też utrzymywać styczność z współczesnem życiem i żyjącym człowiekiem, powinien patrzeć i umieć patrzeć w „świat i życie“. A to życie postępuje ciągle naprzód, toczy się coraz szerszą falą, wyłania z siebie dzień po dniu nowe, jeszcze wczoraj nieprzewidziane zagadnienia, które stają się zwolna własnością całego świata i przeobrażają jego oblicze

materjalne i duchowe. Bez szybkiej i jasnej orjentacji w dziedzinie narastających z każdą chwilą problemów — dies diem docet — nie może przy obecnym rozroście wiedzy nawet dorosły i doświadczony a cóż dopiero młody człowiek odbyć tej długiej i męczącej drogi — u której kresu widnieje ideał Ludzkości i Braterstwa. I niejeden raz się zdarza, że czerpiąc wodę z przygodnych źródeł, którym w swej dziecięcej i młodzieńczej naiwności ufa — pije zatrutą wodę, przesiąkając już za młodu fałszywemi i tendencyjnemi wiadomościami, utrwalającemi się z braku wglądu w istotne oblicze danego problemu. Jeśli człowiek starszy odróżniał jeszcze bonum i malum, to młodzież często wskutek swej pogodnej wiary przyjmowała namiastkę jako wartość objektywną. I dlatego z a r ó w n o z o g ó l n o s p o ł e c z n e g o p u n k t u w i d d z e n i a, j a k i p e d a g o g i c z n e g o w ś c i s ł e m t e g o s ł o w a z n a c z e n i u n a l e ż y z d u ż ą r a d o ś c i ą p o w i t a ć f a k t p o j a w i e n i a s i ę e n c y k l o p e d j i „Ś w i a t i Ż y c i e“ (K s i ą ż n i c a-A t l a s 1933 L w ó w—W a r s z a w a), która wprawdzie każdemu, ale w głównej mierze młodzieży odda nader poważne usługi, ułatwiając jej w niebywały sposób przegląd zdobyczy kultury ludzkiej. — Leży przed nami I-szy tom tego epokowego wprost dzieła, które zakrojone jest i w rzucie pionowym i poziomym na dużą skalę. Całość bowiem obejmie pięć dużych tomów. Już pobieżny przegląd nazwisk autorów — red. prof. uniw. Z. Łempicki, Boy-Żeleński, (zob. art. „Balsac“), prof. Czekanowski („Antropologja“), Kotarbiński („Czyn“), Przeździecki („Ambasador“), Romer (geographica; Szajer („Arjowie“), Wąsowicz (geogr.), Witwicki „psychologica“) itd. — świadczy dosadnie o wysokim poziomie poszczególnych artykułów, pisanych rzeczowo, wyczerpująco, przystępnie, bez sztuczności i pseudonaukowego namaszczenia. Cechuje je o b j e k t y w n o ś ć — o czem w dzisiejszych czasach fabrykowania teoryj naukowych „ad hoc“ — z uznaniem należy wspomnieć. Pro i contra rozważają autorowie li tylko z racji naukowych doświadczeń, nie skąpiąc słów nagany roznosicielom tendencyjnych bakteryj naukowych. Znajdujemy w tych artykułach najrozmaitsze tematy — od najszerszych, obejmujących cały wszechświat, poprzez geografję („Arktyda“ itd.), krajoznastwo, literaturę („Bajka, dramat“ itd.); historję („Ateny“ itd.), stosunki gospodarcze aż do współczesnych zdobyczy techniki i sportu, a nawet ciekawszych drobiazgów życia codziennego. Każdy artykuł opatrzony jest wyczerpującą bibljografją, umożliwiającą i zachęcającą do dalszego i samodzielnego badania i pogłębiania danego zagadnienia. Z uznaniem należy też podnieść polskocentryczny układ artykułów, który w swoisty sposób wyciska na nich znamię oryginalności, czyniąc z nich temsamem i czynnik państwowotwórczy: ostro rysują się na tle ogólnego nastawie-

nia dzieje kultury polskiej w wyrazistym przekroju, nęcącym do porównań („Analfabetyzm“: Komisja Edukacji Narodowej — pierwsze w Europie Ministerstwo Oświaty). Jeśli podkreślimy jeszcze dużą ilość doskonałych rycin i tablic (160), ilustrujących pięknie treść danego artykułu, to zrozumiemy, jaką rolę może odegrać taka encyklopedja przy kształtowaniu umysłowości młodego człowieka (ale nietylko młodego!), odciążając jego światopogląd od fałszywych wiadomości i zabobonów na rzecz tej prawdziwej wiedzy, w której ośrodku stoi Człowiek z zasadą: homo homini homo sit!

Wydawaniem takiej encyklopedji (w następnych czterech latach ukaże się rokrocznie jeden tom) zasłużyła się „Książnica-Atlas“ dobrze sprawie nauczania i wychowania młodych pokoleń.

II.

Najpilniejszem zagadnieniem lektury dzieci jest stworzyć typ książki współczesnej, kształcącej dziecko od najmłodszych lat w duchu tych haseł, które łączą się niepodzielnie z pojęciem uspołecznienia i współpracy. Zakres tych obu czynnników jest bowiem tak obszerny, że objąć może i najmłodsze dziecko i dojrzałego człowieka i wszystkie ludy. I nietylko objąć może, ale i objąć musi. Bo niema innej drogi wyjścia z tradycyjnego chaosu „divide et impera“ na królewską drogę współżycia i cichego bohaterstwa, mieszczącego się w poczuciu obowiązku pracy dla drugiego. Ale tego nastawienia trzeba koniecznie uczyć, wytrwale, gorliwie, z pełnem poświęceniem. Należy wyzyskać dla tego celu wszelkie możliwe środki wychowawcze od unaocznionego przykładu własnego poprzez historyczne przykłady tej treści (Pestalozzi, Rousseau, Andersen itd.) aż do — last not last — lektury. Lektura przepojona krwawem echem wojen — wytwarza nastroje wojenne, partykularne, izolację, a więc wszystkie objawy szkodliwe dla zgodliwego i na ideałach pokoju i duchowych wartości opartego świata. Lektura zaś takiego np. dzieła, jakiem jest Haliny Górskiej „Nad czarną wodą“ (Rój, Warszawa) stworzy z biegiem czasu nowego człowieka, o którym narazie tylko marzymy, ale jako ludzie dobrej woli bezustannie na jego przyjście czekamy. Z radością więc witamy realizację tej rzeczywiście wzniosłej idei przez wydawnictwo Gebethnera i Wolfa (Warszawa) w serji nader pięknie ilustrowanych książeczek, z których kilka tu omówimy. „Nasi braciszkowie“ pióra Ewy Szelburg-Zarembiny otwiera oczy młodzieży na szeroki świat. Ale nie w sensie objektywno-poznawczym, chłodnym, jeno moralno-uczuciowym: ja to ty, ty to ja! Każdy ma prawo do życia i obowiązek do szlachetnego życia. Trzeba się poznać i etosem

współczesnych myśli naświetlić to inne życie. Egocentrycznie wychowane dziecko widzi w drugim człowieku tylko „rasę“ wyznanie „przynależność“ itd., które wypierają z jego naiwnej umysłowości największą wartość, jaką jest Człowiek w sobie. Na wrażliwej „kliszy psychicznej“ dziecka wyryją niezapomniane znaki słowa takie, jak: „że najsilniej ludzi brata praca dla całego świata“ (str. 5), odwiedzi pod tym kątem widzenia dzieci najrozmaitszych ludów i pojmie ich rolę w mechaniźmie świata. Za autorką wykrzyknie „Hallo! Braciszkowie, już się teraz znamy. Hallo! Wiemy, że się serdecznie kochamy“. Kultura uczucia na każdym stopniu rozwoju i wśród każdej sytuacji — jest potrzebą chwili. I wtedy obudzi się w duszy dziecka zrozumienie dla postępu moralnego, jako realny postulat, a nie zdawkowa odpowiedź na lekcji religji dwa razy na tydzień; zasada „kochaj człowieka“ nabierze krwi i kości. I marzyć będzie już za młodu o tem, aby w dojrzałym wieku być przyjacielem każdemu, śpieszyć z pomocą („i śni mi się, żem bardzo mądry i wszystkich potrafię uleczyć“), ta ideologja wyprze wszelkie antyspołeczne poczynania: „Zbuduję domy ze szkła, słońce w nich będzie świecić, w tych domach mieszkać będą dzieci całego świata“ (por. Żeromski, Przedwiośnie) lub „I stale o tem marzę, by wszystkie brudne mieszkania ładnie i czysto wybielić na całym wielkim świecie“ („Nasi ojcowie pracują“ Stef. Themersona, wyd. Gebethner i Wolf, Warszawa). Dotychczas bowiem wypełnialiśmy umysły naszej młodzieży w dużej mierze patologiczną romantyką zdobywców, wojowników, marzących li tylko o swojem małem „ja“, chcących dla swej własnej sławy — burzyć i niszczyć, miast budować i szczepić. Gorżkie owoce tego pokarmu duchowego są nam dobrze znane. Wartość pracy, poznana w całej rozciągłości u nas i u innych („Podróż po mieście“ Szelburg-Zarembiny, Gebethner i Wolf) dokona z czasem tej wewnętrznej przemiany, o jaką jednostki walczą, a jakiej nie znają jeszcze masy. Apoteoza pracy i braterstwo narodów — oto kolumny, na których oprzeć się musi wychowanie w przyszłości, ut per iuventutem ascendat mundus.

Powyższe wydawnictwa są pięknym przyczynkiem na drodze, wiodącej ku takiemu pojmowaniu obowiązków człowieka.

III.

Wydawnictwo „Książnica-Atlas“ (Lwów—Warszawa) obdarzyło nas obecnie dwiema książkami znanego autora „Problemów współczesnego wychowania“, które w pięciu latach dożyły czterech wydań. Obecnie autor — Dr. Ziemnowicz wprowadza nas w świat wychowania amerykańskiego, które poznał dzięki dłuższe-

mu pobytowi na ziemi amerykańskiej i studjum na najsławniejszym uniwersytecie amerykańskim w zakresie pedagogiki „Teachers College Columbia University“, New York. Obie książki — Dr. Ziemnowicza: „Szkolnictwo w Stanach“ i „Nauczanie i wychowanie w St. Zj.“ (Książnica-Atlas 1934) uzupełniają się, chociaż każda z nich stanowi dla siebie zamkniętą całość. „Szkolnictwo“ jest obszernem i wyczerpującem studjum nad ustrojem szkolnictwa amerykańskiego. Autor wskazuje, że tkwiło ono swemi korzeniami w tradycji europejskiej, że jednak pod wpływem dynami życia amerykańskiego zmieniło się i zróżniczkowało, aby wreszcie dojść do takiego stopnia organizacyjnego, który imponuje teraz Europie. Rozważania właśnie nad tą ewolucją wychowania dają nam możność porównawczego poznania wpływów na tworzenie się nowych form organizacyjnych wychowania i na powstawanie nowych haseł. Ziemnowicz zakreśla bardzo szerokie ramy szkolnictwa i stara się ująćje nietylko w najwyraźniejszych typach, szkole elementarnej i średniej, ale wciąga w swe rozważania szkolnictwo zawodowe i wyższe, a nawet oświatę pozaszkolną, starając się wzbudzić w nas przekonanie, że wychowanie jest najważniejszą troską społeczeństwa i że przez wychowanie może każde społeczeństwo znaleźć rozwiązanie swych aktualnych zagadnień. „Nauczanie i wychowanie“ jest jakgdyby pogłębieniem wywodów ustrojowych, daje tło teoretyczne i przedstawia filozofję wychowania amerykańskiego. Krótki rys historji nauk pedagogicznych, które od tak niedawna stały się nauką, daje nam wyobrażenie o tym ogromie pracy, którego dokonali Dewey, Thorndike, James i i. Na tle tej pracy przedstawia nam Ziemnowiecz wspólne psychologiczne podłoże różnych metod nauczania, ilustruje przykładami ich stosowanie i wykazuje, dlaczego te metody zyskały swój rozgłos. Metoda daltońska, projektów, system winnetkowski, jakoteż propagowana ostatnio i u nas praca pod kierunkiem znalazły tu krytyczną ocenę. Z całej książki tchnie pragnienie, aby poszanowanie człowieka i cenienie wartości osobistej, które cechują wychowanie amerykańskie, znalazły większy nacisk i u nas. Ponadto autor nie namawia do naśladownictwa form, przeciwnie, stara się wszczepić zaufanie do własnych sił i własnej inicjatywy. Tem różni się od innych popularyzatorów amerykańskiej literatury.

Przez obie książki wzbogaciła się nasza literatura pedagogiczna, a nauczycielstwo otrzymało bogaty materjał dla nowych przeżyć.

* * *

Dr. Zofja Lissa: Zarys nauki o muzyce, in 8°, str. 249, wyd. Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Lwów, 1934.

Książka ta wypełnia oddawna już odczuwaną lukę w pedagogice muzycznej. Autorka, znana z licznych prac naukowych z dziedziny psychologji i pedagogji muzycznej oraz wieloletniej działalności pedagogicznej daje nam tu zupełnie nowocześnie ujęte kompendjum muzyki, w którem nie odczuwamy już tradycyjnego rozłamu między praktyką a teorją muzyki. Przeciwnie, cały ten poręcznik tchni łącznością z żywą muzyką, wszystkie twierdzenia i wywody wypływają tu bezpośrednio z artystycznej praktyki muzycznej, każda reguła, zasada jest potwierdzona odpowiednim przykładem z literatury muzycznej. Ogromne bogactwo i dobór tych przykładów, zaczerpniętych z literatury muzycznej wszystkich wieków (od (X—XX włącznie), świadczące o szerokich horyzontach autorki dają czytelnikowi pogląd na różnorodność kierunków i stylów historycznych, wykazując zarazem wspólne im wszystkim elementy podstawowe.

Głęboko przemyślany, logiczny układ tej książki, wyczerpujący wszystkie zagadnienia związane z dziełem muzycznem, jego materjałem i konstrukcją. Zaznajamia czytelnika ze wszystkiemi pojęciami muzycznemi, dochodząc na końcu do skrystalizowania pojęć najogólniejszych, pojęć stylu i istoty muzyki.

Podkreślić należy jasność i precyzję wszystkich definicyj, doskonale odgraniczanie pojęć, niekiedy nawet w ogólnej literaturze muzykologicznej niecałkiem dotąd wyjaśnionych, i będących często przedmiotem nieporozumień.

Książką tą powinny zainteresować się nietylko sfery muzyczne, dzięki jej wysokiemu poziomowi naukowemu, oryginalności metody i układu i ciekawemu, głównie rozwojowemu naświetleniu każdego zagadnienia, ale i najszersze warstwy inteligentnej publiczności, którym może ona w jasnej i prostej formie dać całokształt wiadomości o muzyce.

Dr. Irena Huessowa.

Każde dziecko powinno mieć zabezpieczony normalny rozwój fizyczny i duchowy!

(Genewska Deklaracja Praw Dziecka pt. 1.

Wiadomości z central sierocych.

ZJAZD CENTOSU — KRAKÓW.

Dnia 6. maja br. odbył się w Krakowie, w salach Stow. „Solidarność Bnei-Brith" zjazd towarzystw, przynależnych do Zachodnio-Malopolskiego Związku Towarzystw Opieki nad sierotami żydowskiemi, w obecności licznych delegatów z Zachodniej Małopolski i Śląska, reprezentantów władz rządowych i komunalnych, Jointu i Centosu w Warszawie, Gminy żydowskiej Krakowa, oraz wielu instytucyj żydowskich.

Zjezd zagaił prezes Dr. Józef Steinberg, witając reprezentantów, delegatów i gości, oraz szkicując program pracy i problemy opieki nad dzieckiem żydowskiem w naszej dzielnicy.

Następnie powitali Zjazd imieniem Wojewódzkiego Wydziału Opieki Społecznej p. Czwałówna, Prezydjum miasta Krakowa i Wydziału VI. Opieki Społecznej, p. naczelnik Dr. Wessely, Gminy żydowskiej krakowskiej prezes Dr. Rafał Landau, Rady Gminy żyd. i Stow. Solidarność p. prezes Dr. Leon Fischlowitz, imieniem Centosu i Jointu p. dyr. Neustadt z Warszawy.

Po wyborze komisji weryfikacyjnej i rezolucyjnej, przyjęto do wiadomości protokół ostatniego walnego zebrania Związku, sprawozdanie z działalności ogólnej na terenie akcji opieki nad sierotami i dziećmi żydowskiemi, opracowane i uzupełnione przez sekretarza Dra Henryka Lesera, udzielono absolutorjum ustępującej Egzekutywie i wysłuchano interesującego i fachowego referatu dyr. Neustadta z Warszawy na temat: „Opieka nad dzieckiem żydowskiem, a problemy kształcenia zawodowego".

Następnie rozwinęła się ożywiona dyskusja, w której brali udział pp. dyr. Frenklowa (Ognisko Pracy Kraków), dyr. Maschler (Nowy Sącz), Drowa Steinbergowa (Bursa Kraków), sekr. gen. Centosu w Warszawie p. Goldin, Dr. Leser (Kraków), Schönwald-Strochlitzowa (Katowice), Dr. Holländer (Gorlice), Schneps (Dębica), Drowa Deichesowa (Brzesko), Hammerschlażanka (Limanowa), Drowa Kronikowa (Bochnia), prezes Dr. Steinberg (Kraków) i dyr. Neustadt (Warszawa).

Po przeprowadzeniu zmiany statutowej, a mianowicie nazwy organizacji, która odtąd będzie brzmieć: **„Centrala Towarzystw Opieki nad Dzieckiem żydowskiem dla Zachodniej Małopolski i Śląska — Centos Kraków"** czem zadokumentowano rozszerzenie zakresu działania Związku pod względem programatycznym (opieka nad dzieckiem wogóle nietylko sierotami) i terytorjalnym (także na Śląsk), wybrano Egzekutywę w następującym składzie: prezes Dr. Józef Steinberg, wiceprezes Dr. Jan Landau, sekretarz Dr. Henryk Leser, skarbnik Dyr. Dr. Alojzy Abeles, członkowie radca Zygmunt Aleksandrowicz (wszyscy z Krakowa), Dyr.

Samuel Maschler (Nowy Sącz), Drowa Regina Rieserowa (Chrzanów). — Do komisji kontrolującej weszli pp. Dr. Merz Alfred, Dyr. Moszkowski Wincenty, Dr. Deiches Adolf. — W skład Sądu polubownego: pp. Dr. Leon Fischlowitz, Dr. Alfred Spirer (Jasło), Dr. Deiches adw. (Brzesko).

Wkońcu uchwalono szereg rezolucyj, a to podziękowanie Jointowi amerykańskiemu i Centosowi w Warszawie za udzielaną pomoc, apel do władz rządowych, samorządowych i komunalnych, oraz gmin żydowskich o popieranie i subwencjonowanie akcji dziecka żydowskiego, jakoteż do towarzystw i społeczeństwa o nieustawanie w pracy i intensywne roztoczenie opieki nad sierotami bezdomnemi i zaniedbanemi dziećmi żydowskiemi, wreszcie o konieczności powołania do życia internatu żeńskiego w Krakowie, utworzenie w kilku centrach krótkoterminowych kursów fachowych, spotęgowanie akcji zdrowotnej i kolonijnej, zrzeszenie wszystkich towarzystw żydowskich opieki nad dzieckiem żydowskiem w Zachodniej Małopolsce i na Śląsku etc.

Wśród sprawozdań.

Z okazji odbytego w pierwszych dniach maja br. Walnego Zjazdu wydał Zachodnio-Małopolski Związek Towarzystw Opieki nad sierotami żyd. w Krakowie sprawozdanie ze swej działalności za rok administracyjny 1933/34. — Sprawozdanie to mieści na kilku zaledwie stronach arkuszowych, odbitych na cyklostylu, bardzo dużo i społecznie bardzo pozytywnej treści. Dlatego też może każde prawie zdanie tego zwięzłego i rzeczowego elaboratu tchnie optymizmem, wiarą we własne siły i w powodzenie dalszej pracy, której bardzo poważne i chlubne wyniki prezentuje nam omawiane sprawozdanie. Nas, którzy przywykliśmy ostatnio do widoku społeczników, uginających się pod brzemieniem ciężkiego kryzysu, narzekających na brak zrozumienia i poparcia, wątpiących w teraźniejszość i przyszłość pracy, dziwnie uderzyć musi tytuł pierwszego zaraz ustępu sprawozdania: Kryzys gospodarczy a rozrost akcji. Więc rozrost, a nie kurczenie się, objaw pełnego życia, a nie piętno powolnego zamierania, które kryzys gospodarczy niestety wybił na tak licznych instytucjach społecznych! Z dalszego ciągu sprawozdania dowiadujemy się, że w zasadzie nie dzieje się w krakowskiej centrali inaczej, niż gdzieindziej. I tam wzrasta liczba potrzebujących opieki i pomocy, a wysychają źródła dochodów. I tam — z małymi wyjątkami — nie dopisują związki komunalne, zawodzi zubożałe społeczeństwo. A jednak idzie się wielkimi krokami naprzód; akcja nietylko się rozszerza, ale wewnętrznie konsoliduje i pogłębia.

Przedewszystkiem w ślad za przebudową całej organizacji „Centosu" także centrala krakowska zmieniła swój statut, obejmując prócz sierót dzieci

opuszczone i wogóle potrzebujące opieki i pomocy. Następnie notujemy przyłączenie się do centrali Województwa Śląskiego z szeregiem żywotnych organizacyj opiekuńczych oraz rozbudowę całego szeregu instytucyj lokalnych, powiększenie istniejących zakładów i budowę nowych w Krakowie, Chrzanowie, Nowym Sączu, Gorlicach i Bochni, znaczne rozszerzenie akcji w Jaśle i Brzesku.

Jeśli uwzględnimy, że i sama centrala poczyniła duży krok naprzód w kierunku organizacyjnej koordynacji całej pracy na terenie swej działalności, to wypada tylko centrali krakowskiej serdecznie pogratulować dotychczasowych wyników i życzyć dalszego, pomyślnego rozwoju pracy dla wspólnego i drogiego nam wszystkim celu.

Przejdźmy teraz do innego sprawozdania, z odcinka pracy społecznej, który częściowo jest dalszym ciągiem wielkiej akcji opiekuńczej nad dzieckiem i młodzieżą, a zaczyna się, gdy młodzież ta staje u wrót wszechnicy.

Auxilium Academicum Judaicum!

Zdawałoby się, że cała bez wyjątku inteligencja żydowska ma już pełne zrozumienie i odczucie dla tej gehenny niedostatku, cierpień fizycznych i moralnych, którą znosić muszą całe falangi naszej młodzieży akademickiej, bezwinnie skazanej na mękę długoletniej tułaczki, na nędzę i upokorzenia — byleby zaspokoić głód wiedzy. Zdawałoby się, że przedewszystkiem gminy żydowskie, które bądź co bądź powołują się jeszcze na swą działalność kulturalno-społeczną, nie zapomną o tych, którzy na obczyźnie, o głodzie i chłodzie, ofiarą swego zdrowia a nierzadko i życia, sposobią się na pionierów kultury.

Zdawałoby się... A jednak w sprawozdaniu „Auxilium" czytamy: „Natomiast nie otrzymaliśmy w roku bieżącym niestety z żadnej prawie gminy miejskiej lub wyznaniowej, ani z Kas Oszczędności i Banków grosza subwencji. A inteligencja żydowska? „Wpływy z odezw do Inteligencji przyniosły poważny dochód, ale prawie w całości ze Lwowa, gdyż Inteligencja z prowincjonalnych miast w tym roku prawie wcale nie zareagowała". — W konsekwencji Wydział A. A. J. widział się zmuszonym wyeliminować ze swej działalności pomocowej akademików ze Stanisławowa, ograniczyć pomoc dla akademików z Przemyśla, Jarosławia, Tarnopola. Mimoto w ubiegłym roku akademickim korzystało ze stałej pomocy A. A. J. 35 akademików ze Lwowa, a 23 z różnych miast prowincjonalnych. A. A. J. przekazało im tytułem zapomóg w tym roku 10.007 Zł. 41 gr., a przez 8 lat swego istnienia zużyło na pomoc dla młodzieży, studjującej zagranicą, łącznie 85.335 Zł. 29 gr. — Pomoc ta była celową, konstruktywną, bo dotąd 48 akademików zawiadomiło Wydział A. A. J. o ukończeniu studjów, a niektórzy z nich zaczęli już nawet w małych ratach zwracać otrzymane zapomogi, aby i dla innych starczyło... Może więc Wydział A. A. J. z zadośćuczynieniem spoglądać na wyniki swej

pracy, wyniki w pełni uznawane przez młodzież, o czem świadczą niezliczone listy dziękczynne i rezolucja Zjazdu Emigracji Akademickiej z całej Polski.

Smutnem jest jednak, że Wydział A. A. J. wobec kurczenia się dochodów, przewiduje konieczność ograniczenia swej działalności w przyszłym roku.

A może przecież uda się Wydziałowi uniknąć tej smutnej konieczności? Uprawnia nas do tej nadzieji fakt, że kierownictwo A. A. J. spoczywa w ręku tak wytrawnego społecznika, jakim jest mecenas Dr. Adolf Schorr, którego podpis jako przewodniczącego figuruje pod sprawozdaniem A. A. J.

PRENUMERATA 3 ZŁ. KWARTALNIE

ZGŁOSZENIA PRENUM. PRZYJMUJĄ:

LWÓW	Administracja „Przeglądu Społecznego“ ul. Brajerowska Boczna 4. Tel. 36-06.
— „ —	Centr. Komitet Opieki nad sierotami żyd., ul. Brajerowska Boczna 4. Tel. 36-06.
WARSZAWA	Związek Tow. Opieki nad sierotami żyd., ul. Leszno 52. Tel. 11-69-04.
— „ —	Centralne Stowarzyszenie Opieki nad dziećmi i sierotami żyd., ul. Zamenhofa 5. Tel. 12-07-42.
BIAŁYSTOK	Tow. Białostockie Opieki nad sierotami żyd., ul. Kupiecka 6. Tel. 5-11.
WILNO	Komitet Pomocy dla Sierót, ul. Orzeszkowej 7. Tel. 6-88.
— „ —	Kraj. Komitet Żyd. Pomocy Ofiarom wojny ul. W. Pohulanka 5. Tel. 6-26.
PIŃSK	Centralny Komitet Opieki nad sierotami ul. Karlińska 22. Tel. 86.
RÓWNE	Zarząd Gł. Tow. Opieki nad sierotami żyd., ul. Litewska 23. Tel. 2-11.
KRAKÓW	Zach. Małopolski Związek Tow. Opieki nad sierotami żyd., ul. Zielona 3. Tel. 23-41.
STANISŁAWÓW	Okręgowa Żyd. Rada Sieroca, pl. Mickiewicza 6. Tel. 84.

Z DRUKARNI I LITOGRAFJI IGN. JAEGERA LWÓW, UL. SYKSTUSKA 33